

**Ryszard STEMPLOWSKI**

Uniwersytet Jagielloński

Janusz Tazbir, *Długi romas z muzą Klio*

Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2007, 244 s.

Józef Pawlikowski pytał: *Czy Polacy wybić się mogą na niepodległość?* Profesor Janusz Tazbir, przypominając tę broszurę z 1800 r., cieszył się ze swego spotkania autorskiego w Towarzystwie Miłośników Historii, ponieważ *dziś trudno historykowi czy jego książce wybić się na recenzyjność* (s. 199). Jeżeli takie trudności ma koryfeusz nauk historycznych, co mają powiedzieć inni? A przecież słyszymy wciąż o rozwoju nauk historycznych w Polsce! Nawet omawiana książka utwierdza nas w tym przekonaniu, choć jest ona zarazem wielkim, krytycznym przypisem do owej tezy.

**Autor uważa, że nauka historyczna polega na odtwarzaniu właściwego obrazu minionych wieków** (s. 77). Wolę sądzić, że nauka historyczna ten obraz buduje. Człowiek jest stworzeniem politycznym, ponieważ jest stworzeniem historycznym, czyli świadomym swej czasoprzestrzeni. Czas społeczny stanowi bowiem funkcję zmiany społecznej w przestrzeni społecznie zmienianej. Z tym wiążą się kulturowość, wspólnotowość i polityczność. Historia jest więc tym, co w naszej świadomości wiąże się ze zmianą. Stąd pojęcie społecznej konstrukcji rzeczywistości. Coś przecież zmianę musi spowodować. Historia nie jest więc „tym, co było”, lecz stanem naszej świadomości, obejmującym rozpoznane zmiany egzystencji indywidualnej i zbiorowej w czasie (czyli w związku ze zmianami). Jest wytworem człowieka w każdym rozumieniu terminów historia i człowiek, będąc przez to elementem kultury. Dzięki pojęciu kultury potrafimy umieścić każdą zmianę w procesie, który zaczął się, zanim jeszcze badana zmiana zaistniała. Zmianę dostrzegamy dzięki temu, co w kulturze zmianie nie uległo.

Historia jako stan świadomości obejmuje oczywiście informacje dotyczące rzeczywistych zdarzeń dawnych, znanych powszechnie i pewnych tylko w ich najprostszej wersji. Ojciec Jana Długosza wziął był pod Grunwaldem w niewolę dwóch Krzyżaków, *szczególnie niemiłych wielkiemu księciu Witoldowi*<sup>1</sup> Został za to burgrabią zamku i potem trzynastoletni (sic!) Jan mógł zacząć naukę na uniwersytecie w Krakowie. Przerwawszy studia, został urzędnikiem, z czasem objął stanowisko sekretarza potężnego polityka, biskupa Zbigniewa Oleśnickiego, który osłaniał naszego króla pod Grunwaldem.

<sup>1</sup> *Polska Jana Długosza*, red. H. Samsonowicz, Warszawa 1984, s. 9.

Kampanię grunwaldzką opisał Długosz dopiero pięćdziesiąt lat po bitwie. Odbyła się zwycięska dla Polski bitwa pod Grunwaldem, ten prosty fakt znany był od początku, ale piszący o niej Jan Długosz, urodzony pięć lat po bitwie, tylko chorągwie krzyżackie tam zdobyte widział osobiście. Zatem konstruował jej obraz, a nie tylko po prostu „odtwarzał” go. Podobnie i my dzisiaj postępujemy, stwierdzając, że hołd pruski 1525 r. był przesłanką zmiany położenia geopolitycznego Polski, lecz ani król Zygmunt I Stary, ani mistrz krzyżacki Albrecht Hohenzollern nie mogliby tego powiedzieć, także dlatego, że pojęcie geopolityki wtedy nie istniało, a zresztą nie żyli dostatecznie długo, żeby taki obraz dziejów w sobie wytworzyć. Również dzisiaj piszący o genezie polskiego państwa ludzie urodzeni w latach 60. albo później nie „odtwarzają”, a budują obrazu stalinizmu w PRL, złożony z tego, co pochodzi z epoki, i tego, co sami do tego obrazu wnoszą. Historia to nie jest proste stwierdzenie tego, *jak to właściwie było* (Leopold von Ranke), lecz jest to stan naszej świadomości związany z naszym rozumieniem źródeł z epoki, rozumieniem zrodzonym w nowym – aktualnym dla piszącego o tym historyka – kontekście. Pisze Tazbir: *Kompleks rozbiorów, których korzeni dopatrywano się już w XV stuleciu, nie powinien nadal przesłaniać badaczom obiektywnego obrazu tamtych czasów. Pewien zagraniczny kolega powiedział mi kiedyś, że nawet ktoś nieorientujący się zupełnie w historii Polski, kiedy czyta opis panowania dwóch ostatnich Jagiellonów, nie mówiąc już o Wazach, wie z góry, że książka dotyczy państwa, którego dzieje skończyły się wręcz fatalnie* (s. 83). Analizując politykę zagraniczną III Rzeczypospolitej, jej genezę (Okragły Stół) i pierwszy okres budowy nowej orientacji (1989-1990), łatwo o błąd prezentyzmu i ocenę tej polityki przez pryzmat późniejszego upadku ZSRR. Tego błędu oczywiście nie popełnia Tazbir, a zresztą jego postulat „odtwarzania” też nie ma całkowicie bezwzględного charakteru, skoro autor przypomina i rozwija zastrzeżenia co do rozpowszechnionego stwierdzenia, że *prawda historyczna to obraz przeszłości zgodny ze świadectwem źródeł historycznych* (s. 85). Czy jednak jest konsekwentny, skoro pisze o konieczności „poznania” prawdy? Czy historia (dzieje) to coś zewnętrznego ze swą istniejącą, także początkowo dla nas, zewnętrzną prawdą, którą mamy dopiero odnaleźć i w ten sposób poznać? Czy rzeczywiście istnieje coś w taki sposób „obiektywnego”, że da się to opisać za pomocą skończonego zbioru twierdzeń prawdziwych? Wystarczy „poznać”, czyli odkryć skądinąd już istniejącą prawdę, tak jak kiedyś odkrywano niezależnie od odkrywców istniejące przecież kontynenty? Tu wracamy do początku uwag o społecznym procesie konstruowania rzeczywistości, czyli tworzeniu kultury. Książka Tazbira nieustannie odwołuje się do państwa, literatury i to w spersonalizowany sposób. Dla analityka polityki jest więc odniesieniem do kulturowości (tożsamość!), wspólnotowości i polityczności.

**Autor trafnie zauważa, iż musimy uprawiać badania nad naszą przeszłością, literaturą czy kulturą, ponieważ stanowią one istotny zwornik naszej świadomości etnicznej** (s. 91). Jednakże nasza konstytucja czyni suwerenem *Naród Polski – wszystkich obywateli Rzeczypospolitej*, bez względu na świadomość narodową. Skoro jednak nasze ustawodawstwo mówi o mniejszościach narodowych i etnicznych, to istnieć musi też jakaś większość. Ta większość to Polacy jakoś inaczej niż konstytucyj-

nie definiowani, ale – tu niekonsekwencja? – konstytucja mówi też o *chrześcijańskim dziedzictwie Narodu* (to do pewnego stopnia wyłącza niechrześcijan), kulturze *będącej źródłem tożsamości narodu polskiego* oraz udzielaniu pomocy *Polakom zamieszkałym za granicą w zachowaniu ich związków z narodowym dziedzictwem narodowym*. Tazbir najwyraźniej odnosi się więc do większości narodowej, jeśli wolno się tak wyrazić. I stwierdza, że dla tego *zwornika polskiej świadomości etnicznej* wejście Polski do Unii Europejskiej *może stanowić pewne zagrożenie* (s. 91). A co z losami mniejszości narodowych i etnicznych? Polska i dla nich jest ojczyzną, która weszła do UE. „Nasza” historiografia, uprawiana głównie w Polskiej Akademii Nauk i na uniwersytetach, nie będzie chyba mogła od tego abstrahować. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że nie po raz pierwszy zwraca uwagę sposób określania narodu polskiego w konstytucji. Raz to jest naród polityczny i postulatywny, ideał przyszłości; innym razem – naród określany w kategoriach bliskich cytowanej „świadomości etnicznej”. Rozmowa o kulturze politycznej pozwoli nam uzgodnić rozumienie tych pojęć w procesie konstytucyjnej syntezy świadomości narodowej. Łatwiej będzie to uczynić po lekturze szkicu *Przemiany polskiego patriotyzmu* (s. 205-215).

**Autor przypomina nam o tym, że publikacje polskie nie dość są znane za granicą, nawet uczonym.** Chodzi mu naturalnie o to, że w państwach peryferyjnych światosystemu czyta się o państwach centrum tego systemu, a w państwach centrum nie czyta się o państwach peryferyjnych. Wyjątki od tej reguły związane są z istnieniem wielkich mocarstw albo z konfliktami zbrojnymi i innymi (ale i wtedy piszą o tym zazwyczaj ludzie z centrum) lub po prostu z etnograficzną specjalizacją. Tak jest rzeczywiście i to jest właśnie zagadnienie systemowe. Mieszkańcy Biłgoraja więcej wiedzą o Warszawie niż mieszkańcy Warszawy o Biłgoraju, choćby nie wiem ile wydań tej książki profesora Tazbira miało się w Warszawie ukazać (autor pisze w niej dużo o Biłgoraju). I jest tak u nas, mimo że i w Biłgoraju, i w Warszawie mówi się zasadniczo tym samym językiem. Tymczasem w centrum światosystemu, choć pojedynczy język nie obejmuje wszystkich jego mieszkańców, to jednak (a) istnieje język obejmujący zdecydowanie największą liczbę tytułów publikacji naukowych – jest to język obecnego i poprzedniego hegemonu światosystemu oraz (b) wydawnictwa publikujące w tym języku znajdują się właśnie w państwach centrum. Tak więc nawet książka w języku angielskim, lecz wydana w Polsce, nie zaistnieje na rynku bez dystrybutora w centrum. Wszelako ofiary tego stanu rzeczy żyją zarówno na peryferiach, jak i w centrum światosystemu. Kiedy się bowiem czyta angielskojęzyczne opracowania z teorii polityki, można odnieść wrażenie, że świat ogranicza się tylko do sfery tego języka, a takie nastawienie szkodzi też autorom tych książek. Omówienie tego wieloaspektowego zagadnienia wykracza poza ramy niniejszej recenzji, ale możemy być wdzięczni autorowi za zwrócenie na to uwagi, gdyż akurat jego opinia może dotrzeć do czytelników w niejednym „centrum”. Integracja europejska stwarza szansę poprawienia naszej sytuacji, w miarę rozwoju dwujęzyczności i tożsamości europejskiej, a także innych form konwergencji.

**Autor zwraca uwagę na złą sytuację finansową nauki.** W tym wypadku ważne jest nie tylko to, co się mówi, lecz przede wszystkim – kto to mówi. Profesor Tazbir

bowiem zajmował kierownicze stanowiska w Polskiej Akademii Nauk. Z pewnością dążył do zmiany materialnego statusu ludzi i instytucji zajmujących się nauką, a więc i humanistyką oraz naukami społecznymi. I nie był w tym odosobniony. O skutku tych starań pisze, iż *nasze nauki humanistyczne i społeczne są już od dawna poniżej granicy niedoinwestowania* (s. 96). I dodaje: *Choć wielu przedstawicieli świata nauki zasiada w ławach sejmowych i senackich, jak również na fotelach ministerialnych, nie potrafili oni (nie chcieli?, nie byli w stanie?) stworzyć solidarnego lobby, które by przypominało o potrzebach nauki. Krąży nawet złośliwe powiedzenie, że nigdy jeszcze w dziejach III i IV Rzeczypospolitej nie zasiadało w rządzie tylu profesorów. I jeszcze nigdy nie wykazywał on tak małego zrozumienia dla ciężkiej finansowo sytuacji różnych dyscyplin z naukami humanistycznymi i społecznymi na czele* (s. 96). Ja zawsze uważałem, że reforma „nauki” musi objąć zarówno instytucje, jak i ich finansowanie. Nie oczekiwałbym jednak reformy instytucji od pracowników nauki – szczególnie od konserwatywnej profesury. Taka reforma musi przyjść z zewnątrz. Czy jej siłą motoryczną mogą być uczeni w Radzie Ministrów czy Sejmie? Raczej nie. Na pewno nie w zakresie finansowania, gdyż zwiększając nakłady na naukę: (a) stworzyliby innym uczonym warunki do prześcignięcia tych właśnie uczonych-polityków i to nie tyle dzięki intelektowi, ile wskutek zwiększonych dochodów, (b) roztrwoniliby swoje wpływy potrzebne do korzystniejszego współdziałania z innymi grupami.

Kultura polityczna wyraża się w tym, że uczyony-polityk zachowuje się zgodnie z racjonalnością polityczną, a nie oświeceniową. Na uwagę, że jest trudno, odpowiada więc: *A gdzie jest powiedziane, że ma być lekko?* (bardzo wpływowy i uczyony polityk do szefa Kancelarii Sejmu, 1990 r.; podobną odpowiedź otrzymał kilka lat później pewien ambasador RP od bardzo ważnego członka Rady Ministrów). Z tekstu Tazbira wynika, że nic się pod tym względem nie zmieniło. Do produktu narodowego brutto PRL wliczano tylko to, co powstawało w gałęziach uznanych za „produkcyjne”. Teraz metodologia obliczania PKB jest inna, ale czy w takim samym stopniu zmieniła się mentalność decydentów? W tym roku budżet nauki ma być wreszcie wyraźnie lepszy, ale reforma instytucji naukowych i kształcenia na poziomie uniwersyteckim nie jest obecnie tematem dyskursu publicznego. A czy jest przedmiotem projektu decyzji organu prowadzącego politykę? Tempo wzrostu gospodarczego oraz konwergencja integracyjna sprzyjają poprawie. Potrzebna jest jednak zmiana skokowa powtarzana w budżecie przez dłuższy czas, a nie – pełzająca i chwilowa. Drugim warunkiem powodzenia są zmiany instytucjonalne. Nasz system jest zbyt sztywny. Jak ci biedni Amerykanie radzą sobie bez habilitacji jako wymogu samodzielnej pracy? A dlaczego rektorzy ich uniwersytetów z reguły nie należą do czołówki nauki? Dlaczego przeciętny wiek nowo mianowanego profesora jest tam tak niski? Dlaczego doktorant polski nie może utrzymać się godnie ze stypendium? A dlaczego polski student z reguły nie umie analizować i pisać – czyżby nie był tego nigdzie systematycznie nauczany? Pełna lista pytań jest dłuższa. Istnieją też odpowiedzi.

**Autor stwierdza, że *historyk, który nie interesuje się współczesną walką o władzę, nigdy nie zdobędzie się na unikliwe opisanie tego, jak przebiegała ona w XVI czy XIX wieku*** (s. 106). Słuchacze moich wykładów na politologicznych specjaliza-

cjach – dalekowschodniej i latynoamerykanistycznej – znajdują w tych słowach autorytatywne poparcie tego, co im mówię, a mianowicie, że za ich nieznamość historii odpowiadają także ich nauczyciele, którzy nie rozumiejąc funkcjonowania państwa, którego są obywatelami, nie potrafią nikomu wyjaśnić funkcjonowania władzy państwowej w czasach dawniejszych, ale ostatecznie to my, profesorowie uniwersytetu, tych nauczycieli kształcimy i żeby sytuację naprawić, musimy od swoich studentów wymagać więcej niż przedtem. I dawać więcej. Czy jednak władze uniwersyteckie nie mogłyby wykazać większej inicjatywy i zapraszać na krótkie serie wykładów ludzi spoza „akademii”? Żadna habilitacja nie zastąpi obserwacji uczestniczącej. Czołowe uczelnie na świecie wiedzą, że zróżnicowanie grona nauczającego przyciąga studentów, a ci z kolei zwracają uwagę sponsorów na uczelnię.

**Autor pisze, iż „rozwód” historii z literaturą piękną pozbawił historię czytelników, a literaturę wtrącił w pułapkę psychologizmu i czysto umownego traktowania historycznego kostiumu.** Sądziłem dawniej, że czytanie takich powieści (Walter Scott, Daniel Defoe, Henryk Sienkiewicz oraz im podobni) dobre jest dla kilkunastolatka. Potem doszedłem do wniosku, że taką literaturę można zaakceptować, jeśli autor umie wykorzystać źródła i albo stwarza czywistą w odbiorze alternatywę dla powszechnie znanej tezy, albo się takiej tezy trzyma. Dla historyka pisanie tego rodzaju tekstów literackich może być rozrywką, dla czytelnika również mogą się nią one stać. Problem pojawia się wtedy, gdy powieść historyczna albo film czy telewizyjny serial zastępują lekturę syntezy czy monografii, a nawet podręcznika w szkole średniej. Ten problem muszą rozwiązać pedagodzy. Innego rodzaju problem pojawia się wówczas, gdy utwór literacki ma spełnić rolę politycznego manifestu. Taki problem rozwiązuje każdy czytelnik samodzielnie. Gorzej mają się sprawy wtedy, gdy autor traktuje źródła i tezy historiograficzne chaotycznie. Taki utwór może jednak uratować forma.

Jednakże najtrudniejszy problem to pytanie: czy może zaistnieć utwór literacki, który nie byłby historyczny? Każdy jest przecież pisany przez historycznie uformowanego autora. I odbierany jest przez ukształtowanych historycznie czytelników. Innymi słowy, jeżeli chce się stosować kategorię „utwór historyczny” (powieść historyczna itp.), to wymaga ona jasnego kryterium. Jakie to kryterium? Praktyka jest niespójna i jasnej odpowiedzi nie udziela. Mało kto jest jednak tak przygotowany do udzielenia odpowiedzi na to pytanie, jak profesor Janusz Tazbir.

**Autor rozprawia się ze stereotypami.** W pełni przy tym staje się widoczna jego przysłowiowa już erudycja. Te rozważania możemy pamiętać z wcześniejszych publikacji profesora, ale teraz zostały zebrane w atrakcyjnej syntezie.

Nie tylko w celu wywołania dyskusji z autorem, gdyż głównie z powodów zasadniczych, zaznaczę jednak, że jednoznacznie negatywne traktowanie stereotypu rodzi wątpliwości. Stereotyp jest uogólnieniem dokonany na niepełnej podstawie informacyjnej. Nie jest sądem prawidłowym, a zatem jest pewnego rodzaju prze[d]sądem. Zwykle wartościującym negatywnie, ale istnieją i stereotypy „dodatnie” (te często nazywamy mitami). Oczywiście, wolimy sądy adekwatne od wszelkich przesądów, także stereotypów, negatywnych i pozytywnych. Jednakże istnieje coś takiego, jak sądy

nieściśle. Można do nich zaliczyć przynajmniej niektóre stereotypy. Takie, które nie są twierdzeniami oczywiście nieprawdziwymi. Twierdzenie „Polska krajem pijanych kierowców” jest stereotypem, ale co począć z twierdzeniem „W Polsce bardzo łatwo o wypadek spowodowany przez pijanego kierowcę”. Występuje tu nieostre pojęcie „łatwo”. Ale twierdzenie w całości nie jest nieprawdziwe „oczywiście”. Nie jest też ściśle. Jest po prostu nieściśle. Czy to stereotyp, czy tylko opinia do stereotypu podobna? Jeśli sobie uświadomimy, że w ogóle większość zdań, którymi opisujemy rzeczywistość, ma charakter przybliżenia, a za taką nieściślonością przemawia też ekonomia wysiłku, to postulat wyeliminowania stereotypu musi się wydać czymś niezmiernie ambitnym. Można realistycznie dążyć raczej tylko do tego, żeby minimalizować liczbę uogólnień fałszywych w obiegu, tolerując – na zasadzie mniejszego zła – występowanie uogólnień uproszczonych, w oczekiwaniu na wzrost liczby i zakresu uogólnień poprawnych. Postulat eliminacji przesądu jako takiego sam jest chyba przesądem co do rodzaju ludzkiego na obecnym jego etapie rozwoju, chyba że nie chodzi o zjawisko, lecz o jakiś określony przesąd, uznawany za bardzo szkodliwy (szkodliwość jest stopniowalna). Ale i w tym wypadku idzie chyba raczej o ograniczenie aniżeli wyeliminowanie stereotypu. Im ostrzejszy bowiem stereotyp, tym prawdopodobnie głębiej zakorzeniony. Zresztą stale rodzą się stereotypy nowe. Zacytuję pasujący do tego wywodu przykład z mojego *Wprowadzenia do analizy polityki zagranicznej RP: Wobec oczywistej niemożliwości rychłego i absolutnego wyeliminowania w świecie rasizmu (np. antysemityzmu) ze świadomości społecznej oraz w obliczu częstego, choć nieuzasadnionego, zaprzeczania faktowi istnienia antysemityzmu, należy bezwzględnie dążyć do jego ograniczenia przynajmniej poprzez niezwłoczne reagowanie na poszczególne tego przejawy publiczne (wypowiedzi w mediach, podczas posiedzeń organów władzy publicznej, zgromadzeń publicznych, uroczystości religijnych etc.). Reagować powinni wszyscy, szczególnie osoby oraz instytucje pretendujące do statusu autorytetu moralnego, ale w takich sprawach szczególnie postawa organów władzy państwowej – sądowej, wykonawczej i ustawodawczej – musi być [...] brana pod uwagę przy analizowaniu polityki zagranicznej*<sup>2</sup>. I nie tylko zagranicznej.

Realista Janusz Tazbir wróży stereotypowi *długi żywot* (s. 168), lecz jednocześnie uczy ostrożności, uczy rozpoznawania stereotypów, przyczynia się do ich ograniczenia. Może siłą swego talentu rzeczywiście jakieś wyeliminuje?

**Autor wyraża opinię, że od schyłku XVIII wieku na czoło wysuwano w [kwestionariuszu badań] przyczyny rozbiorów. Obecnie na pierwszym planie powinno się chyba sytuować nasz udział w europejskiej wspólnocie cywilizacyjnej** (s. 83). Przede wszystkim należałoby badać *tradycje samorządu terytorialnego oraz zdolność współzycia i współistnienia wielu nacji w jednym organizmie państwowym*.

To chyba najważniejsza idea projektująca w tej książce. Widziałem przed wejściem na teren Uniwersytetu Kioto stojący tam kamień z napisem: *Cudzoziemcze, uszanuj nasze obyczaje. Nie jesteście tu od wczoraj*. Polska zaś nie jest w Europie cudzoziem-

<sup>2</sup> R. Stemplowski, *Wprowadzenie do analizy polityki zagranicznej RP*, wyd. 2 rozszerzone, t. 1, Warszawa 2007, s. 330; pomijam przypisy odnoszące się głównie do wypowiedzi Czesława Bieleckiego i Pawła Śpiewaka.

cem, nawet jeśli w Unii Europejskiej jest dopiero od wczoraj. Należymy jednak do tej samej wspólnoty wartości, nasza tożsamość jest europejska, teraz już i nasze państwo jest częścią europejskiej wspólnoty państw, a jako obywatele polscy stajemy się powoli obywatelami stopniowo federalizującej się Europy. Wprawdzie to tylko część geograficznej Europy, lecz za to część o europejskiej cywilizacji decydująca. Chociaż badanie naszego udziału w tworzeniu europejskiej kultury nie jest wyłącznie zadaniem dla historyków, a nasz Wydział Studiów Międzynarodowych i Politycznych ze specjalizacją kulturoznawczą mógłby ułatwić tworzenie programów badania kultury z udziałem uczonych z rozmaitych dyscyplin, ma rację profesor Tazbir, postulując przesunięcie środka ciężkości badań historyków w tę właśnie stronę. Wolałbym jednak, żeby nie używał w odniesieniu do sytuacji obecnej języka implikującego istnienie nadal, teraz, wyraźnej granicy między III Rzeczpospolitą a Zachodem. Wszak przewyżczamy podział, o którego genezie tak przekonywająco pisał profesor Marian Małowist<sup>3</sup>. A ponadto: Czy autor nie idealizuje owej *zdolności współzycia wielu nacji w jednym organizmie państwowym*? Te zdolności nadal jeszcze nabywamy, a Rzeczypospolita Obojga Narodów może służyć za ilustrację tezy o nieadekwatności integracji skokowej przez federalizację. Nie bez powodu rozwija się europejska integracja (neo)funkcjonalna.

**Autor poświęca wiele uwagi krytyce naukowej i kieruje do wszystkich członków wszystkich rad naukowych m.in. takie oto słowa:** [...] *nic nie może usprawiedliwić autorów [recenzji] skłonnych przyklasnąć zatwierdzaniu wątpliwych awansów naukowych [...] skutek jest zawsze jeden i ten sam. Wyraża się on w obniżeniu poziomu wymagań naukowych, a co za tym idzie – i samej nauki. Jest zaś rzeczą oczywistą, iż ktoś, kto został doktorem habilitowanym lub profesorem, nie mając rzeczywistego dorobku, w obawie przed konkurencją okaże się skłonny do promowania niemal jeszcze gorszych od siebie* (s. 201). Tę część książki – *Kilka uwag o krytyce naukowej* – polecam swoim koleżankom i kolegom jako lekturę obowiązkową. Z jednym wszakże zgodzić się nie mogę. Autor jest zwolennikiem scentralizowanego nadzoru nad systemem nadawania stopni naukowych. Moim zdaniem ten system nie sprawdził się i nic nie wskazuje na to, żeby miała tu nastąpić poprawa. Sprawdził się natomiast, za granicą, system zdecentralizowany. Autonomia uczelni w tym właśnie winna się też wyrażać, że sama – wyłącznie ona – decyduje o stopniach, tytułach i stanowiskach. To oczywiście pogłębi różnicowanie wielkich szkół publicznych i trochę obniży ich wysoki etatyzm, przybliżając je do społeczeństwa obywatelskiego. Lepsze staną się wtedy jeszcze lepsze dzięki przyciąganiu zdolniejszych ludzi i zasobniejszych sponsorów, średnie dadzą produkt przeciętny, a najgorsze będą działać jak środek przeciwbólowy.

**Autor zamyka zbiór swoich szkiców obszernymi rozważaniami o ludziach i książkach, których... nie było.** Biorąc zeń przykład, chciałbym do tej listy dorzucić i mój grzech w postaci cytowania w rozprawie doktorskiej wspomnień Hermanna Rauschninga, *Gespräche mit Hitler*. Rauschning był w latach 1933-1934 nazistowskim przewodniczącym gdańskiego Senatu. Zerwał z Hitlerem jeszcze przed wojną. Jego pa-

<sup>3</sup> Zob.: M. Małowist, *Wschód a Zachód Europy w XII-XVII wieku. Konfrontacja struktur społeczno-gospodarczych*, Warszawa 1973.

miętnik (te rozmowy z Hitlerem) został dopuszczony jako dowód przed trybunałem norymberskim. Nie miałem tego tekstu w ręku i cytowałem za artykułem Friedricha Katza *Einige Grundzüge der Politik des deutschen Imperialismus in Lateinamerika von 1898 bis 1941*, pomieszczonym w zbiorze opracowań, którego Katz był współredaktorem (Berlin 1966). Już po złożeniu tekstu do druku (1974) dostałem mikrofilm z pełnym tekstem Rauschninga w języku angielskim (*Voice of Destruction*, 1941) i nabrałem podejrzeń, że to wszystko jest zbyt proste, nawet prostackie, że może to apokryf, ale i tak byłoby za późno na wyjęcie tego fragmentu z mej książki (epoka przedkomputerowa). Dziewięć lat później (w 1983 r.) szwajcarski historyk Wolfgang Haendel wykazał, że stworzenie tych „wspomnień” było pomysłem Brytyjczyka węgierskiego pochodzenia (Emery Reves) i że zostały one napisane głównie przez współpracownika Roberta Vansittarta (w latach 30. stały podsekretarz stanu w Foreign Office, czyli szef brytyjskiej służby dyplomatycznej) o nazwisku Henry Wickham-Steele, wydane zaś zostały przy aprobacie Rauschninga w USA jako antyhitlerowski tekst propagandowy<sup>4</sup>. Tekst opatrzony nazwiskiem Rauschninga jest źródłem, ale do badań nad propagandą aliancką czasu wojny. Słabą pociechę stanowi fakt, że cytowałem za znanym historykiem starszego pokolenia (co prawda, pracującym w NRD, ale to akurat umacniało mnie w przekonaniu o prawdziwości antynazistowskich „wspomnień”, a ponadto pochlebnie wyrażał się o nim znający go mój promotor) i że na tego „rauschninga” powoływali się jeszcze szerzej autorzy tej miary co Alan Bullock i Joachim Fest. U nas niedawno aprobatywnie wymieniał tę książkę Adam Michnik<sup>5</sup>.

<sup>4</sup> M. Weber, *Rauschning's Phony „Conversations With Hitler”: An Update*, „Journal of Historical Review” Vol. 6, 1985-1986, nr 4, s. 499.

<sup>5</sup> Zob.: A. Michnik, *Wobec walki nas i walki klas, czyli o znaku sprzeciwu i znaku przymusu*, „Gazeta Wyborcza” 2007, 7-9 IV.

---

**Dr hab. Ryszard STEMPLOWSKI, prof. UJ**, ur. 1939. Prawnik (UWr.) i historyk (dr w IH PAN, habilitacja w UW). Pracownik IH PAN w latach 1973-1989. Szef Kancelarii Sejmu (1990-1993), ambasador RP w Londynie (1994-1999), powołany przez prezesa Rady Ministrów na organizatora i pierwszego dyrektora nowo tworzonego Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (1999-2004), profesor SGH w Warszawie (2003-2004). Redaktor naczelny rocznika „Estudios Latinoamericanos” (PAN, t. 11/1988 – 15/1993). Założyciel i pierwszy redaktor naczelny „Polskiego Przeglądu Dyplomatycznego” (nr 1/2000 – 21/2004). Założyciel i pierwszy przewodniczący komitetu redakcyjnego serii wydawniczej (PISM) *Polskie Dokumenty Dyplomatyczne*. Od 2005 r. profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego (Wydział Studiów Międzynarodowych i Politycznych). Autor ok. 200 publikacji, w tym książek: *Zależność i wyzwanie: Argentyna wobec rywalizacji mocarstw anglosaskich i Trzeciej Rzeszy* (1975), *Państwowy socjalizm w realnym kapitalizmie: Chile w roku 1932* (1996). *Kształtowanie polskiej polityki zagranicznej* (2004), *Wprowadzenie do analizy polityki zagranicznej RP* (2006). W przygotowaniu: *Europa Wschodnia i Ameryka Łacińska w światosystemie XX-XXI w.*